

Zawsze uważałam, że kobiety nie można przekupić. Niczym. No, chyba że kwiatami, czekoladkami, dobrym słowem lub ładnym ciuchem, o czym miałam się wkrótce przekonać. Eliza prawie padła trupem, gdy opowiedziałam jej o wizycie Laury. Sama o mały włos nie zemdlalam, kiedy Ruda (bo tak ją kiedyś nazywałam) zadzwoniła do mnie informując, że chciałyby wpaść w weekend. Szczegół, iż teraz była rudą blondynką. Wykręciłam się wizytą u fryzjera, którą w ostateczności zaklepałam. Alibi czekało na realizację, podczas gdy końcówki włosów aż błagały o podcięcie, nowy *look* mógł nadać im świeżości. Uległam podszeptom dziewczyn i dałam namówić się na *ombre*.

Miałyśmy z matką wspólnego fryzjera, ale ten fakt zatajałam przed światem, bo najzwyczajniej się go wstydziłam. Konstanty, którego nazywałam Kostkiem na szczęście był wszechstronny, toteż litując się nad moim wiekiem, cesał i obcinał mnie zupełnie inaczej, niż Irenę. I dzięki Bogu nie był tak bezna dziejny, jak miał na imię.

- To co skarbie? Zdecydowane „ciach”, czy raczej „będę się upierać przy dwóch centymetrach, choć włosy skamlą o co najmniej pięć”? – spytał sopranem, sugerującym niegdysiejszą kastrację. Czasem wręcz zachodziłam w głowę, czy nie połknął jakiejś śpiewaczki operowej, na przykład Marii Callas.

- Dobrze wiesz, że nie znoszę twoich sugestii – nadmieniłam, żeby znał swoje miejsce. Przyjęłam, iż mogę sobie pozwolić na nutkę niezadowolenia. – Delikatnie podcinamy, bo dobrze mi się żyje z dłuższymi. I chciałabym *ombre* w komplecie – dodałam z dumą.

- Pięknie! Szalejemy – pochwalił. – Jakies *rendez-vous* się szykuje?

- Tak – uchyliłam rąbka tajemnicy. – Z burgerem i colą w doborowym towarzystwie.

- Brzmi romantycznie. A jakież to zniewalające towarzystwo będzie ci dziś partnerować w *fastfoodowej* uczcie? – Ciekawość prawie zżarła mu zmarszczki.

- Ja sama. – Teatralnym gestem wskazałam na własną skromną postać odbitą w lustrze.

Kostek w geście zrozumienia pokłonił się nisko mojemu odbiciu, po czym chwycił w dłonie nożyczki i grzebień, z którymi niemalże się nie rozstawał. Podczas strzyżenia i farbowania, niczym grad kul spadła na mnie seria pytań o życie prywatne. Komuś innemu pewnie powiedziałabym, żeby spieprzał na drzewo, ale to był Kostek. Stary, dobry, poczciwy Kostek. Jemu wybaczyłabym nawet, gdyby zapytał o współżycie seksualne.

Kiedy skończył naprawiać świat, zakręcił obrotowym krzesłem, na którym dogorywałam. Obejrzał mnie ze wszystkich stron, jak bydło na targu. Rezultat zdawał się go zadowalać.

- I jak? – dopytywał, chcąc jak najszybciej przerwać nić niepewności.

- Spieprzyłeś robotę – udałam niezadowoloną, podczas gdy tak naprawdę nie potrafiłam oderwać wzroku od własnego odbicia, co nie umknęło jego uwadze.

- Możesz mi umyć grzebień. – Podejrzewałam, że Kostek wymyślił swój slang fryzjerski w geście samo-

obrony przed upierdliwymi klientami. – Jest bosko! – klasnął w dłoń.

- Skoro widzisz, to po co pytasz?

- Czemu się nadęłaś? Przecież uratowałem twoje włosy przed rychłą katastrofą! – rzekł w sposób nie znoszący sprzeciwu. – Teraz są miękkie i lśniące. – Ujął w dłoń pojedynczy kosmyk i okręcił go sobie wokół palca. – Idealne.

Gdyby każdy tak przykładął się do pracy, podchodząc do niej z czystą pasją i sercem, świat byłby piękniejszy. Rozglądając się po idealnym salonie fryzjerskim Kostka, zauważyłam, że chciał do niego weisnąć całą Wenecję. Zasadlając lokum przechodził okres kulminacyjny fascynacji tym miastem. Lustra otoczone małymi kryształkami sprawiały wrażenie lśnienia, a na małych stolikach stały ozdobne, wielkie wazony pełne herbacianych sztucznych kwiatów; fotele i kanapy obite biało-brązowym materiałem w paski o zaokrąglonych oparciach dawały klientom poczucie przytulności i elegancji. Sam Kostek wyglądał, jakby go wyciągnięto żywcem ze starego, zagranicznego filmu. Miał bujne, ciemne włosy, zakręcone jak on sam, przez szyję zawsze przewieszał szalik, a jego nogi opinały idealnie dopasowane spodnie *slim fit*. I nigdy, przenigdy nie wychodził z roli.

Zapłaciwszy Kostkowi należność za usługi, wyszłam z salonu wśród *ochów* i *achów* wprost na zatłoczoną ulicę. Na głowę spadły mi wielobarwne liście kasztanowca oderwane od drzewa. Pod butami zachrzęściły pozostałości po jego owocach – zgniłe, kolczaste torebki. Mój wzrok ciągle wędrował w stronę gamy kolorów skulonej w wełnianych czapkach, szalikach i rękawiczkach przechodniów.

Idąc chodnikiem do miejsca, w którym zaparkowałam, podziwiałam swoje odbicie w wystawach sklepowych. Najlepszym dowodem na sukces Kostka był fakt, że mogłam na nie patrzeć bez awersji. Ta fryzura naprawdę bardzo mi się podobała. Ego wylazło na wierzch w postaci szerokiego uśmiechu, kiedy jakiś młody chłopak przechodząc obok, zagwizdał z aprobatą.

W przyływie dobrego humoru wstąpiłam do elitarnego butiku, gdzie kupiłam horrendalnie drogie szpilki marki Jimmy'ego Choo. Chociaż w ten sposób mogłam osiągnąć kawałek wielkiego świata zamkniętego w czterech ścianach. Podobno Jimmy zaprojektował swoje pierwsze buty w wieku jedenastu lat. To się nazywa „cudowne dziecko”. Zabrałam swój nabytek wraz z nedorzecznym entuzjazmem do domu. Wizyta u fryzjera tak mnie ożywiła, że miałam ochotę zrobić coś szalonego. Jednak w momencie skoku ze spadochronem pojawiła się penetracja lodówki, w nadziei ujrzenia przesiąkniętego tajemnicą, wysublimowanego dania, które w swojej łaskawości Aleks mógł dla mnie zostawić. Zamiast tego, spostrzegłam ogromne, kolorowe misio-želki, pływające w jakiejś przezroczystej cieczy. Miały nienaturalnie wybałuszone oczyska i były o wiele większe od zwykłych żelków czekających w torebkach na rychłą śmierć. Ciekawość kazała mi wystawić palec wskazujący i zanurzyć go w podejrzanym roztworze, a następnie włożyć go do ust w celu degustacji. Wszelako w ostatniej chwili zdecydowałam się spróbować zielonego miśka. Od tego jeszcze nikt przecież nie umarł, choć moja mina zapewne powiedziała coś zupełnie innego. Przez procenty połączone z żelatyną wykrzywiłam twarz, jakbym zjadła kilo cytryn.

- Nieładnie tak myszkować – zauważył Aleks zachodząc mnie od tyłu, aż podskoczyłam. – Jak moje alko żelki? – zapytał.

- Okropieństwo! – wyrzuciłam mu, wypływając do zlewu pozostałości eksperymentu, które nie chciały wyleźć z ust.

- O *Biryani* też tak mówiłaś – wspomniał. – Czyli ci smakuje. – Jego zadowolona mina mnie spoliczkowała.

- Czy pijane misie nie są przypadkiem czymś w rodzaju *faux pas* dla kucharza? – drażniłam się, pragnąc jak najszybciej umyć zęby, ponieważ do gardła podchodziła mi żółć.

- Spokojnie, te się jeszcze nie najebały. – wyszczerzył zęby, a mnie naszła refleksja o tym, dlaczego tak szybko należy przepić wódkę. – Jaki kolor wzięłaś?

- Czy to ma jakieś znaczenie? – spytałam zdumiona.

- Żadnego, ale chciałbym wiedzieć, który jest godzin zapamiętania.

- Wołałabym raczej, żebyś pozwolił mi o nim zapomnieć – nadmieniłam, hamując mdłości. – Zielony sukksyn! – W tym momencie czara się przelała i zostałam zmuszona pójść do łazienki zwrócić głupotę, gdzie przez kilka minut moim ciałem wstrząsały nieprzyjemne torsje.

Gdy wyszłam z toalety, Aleks zamiast zaniepokoić się moją marną prezencją, wyglądał na rozbawionego do łez.

- Czego?! – wrzasnęłam.

- Teraz wyglądasz jak żelek, którego wszamałaś! – zaśmiał się. – Jesteś cała zielona! Wiosna mogłaby ci pozazdrościć.

- Dzięki takim dupkom jak ty, życie uraczyło nas kolokwializmami! – odcięłam się i wykorzystałam swoją piętę, by odwrócić twarz tam, gdzie gęba Aleksa nie przesłaniałaby mi słońca.

W chwili, gdy zapragnęłam znaleźć się jak najdalej niego, z genialnego konceptu wyrwał mnie dźwięk telefonu dochodzący nie wiadomo skąd. Przegrzebałam potencjalne miejsca, mogące pochłonąć denerwującą aparaturę, jednak nic nie wskazywało na to, że ją znajde. Dopiero Aleks – czarodziej wyciągnął słuchawkę w moją stronę niczym as z rękawa.

- Halo? – wychrypiałam, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

Przed oczami stanęła mi scena z bajki *Klopsiki i inne zjawiska pogodowe*, w której ożywione przez pseudonaukowca żelki śpiewały radośnie: „Zjedz nas, zjedz nas, odgryź główki nam”.

- Cześć ślicznotko! – Po drugiej stronie usłyszałam ciepły i kojący głos przyjaciela.

- Michał! – krzyknęłam uradowana.

Michał właściwie nie był Michałem, tylko Michaelem. Miał polskie pochodzenie, ale urodził się w Stanach Zjednoczonych, gdzie wraz z obywatelstwem osiadł na stałe. W okresie jego dojrzewania rodzice przechodzili fazę tęsknoty za ziemią ojczystą, w związku z czym postanowili do niej wrócić. Ironią losu, kiedy już znaleźli się w rodzinnych stronach, życie aktywowało etap drugi – niedosyt. Rozdarci pomiędzy dwoma krajami, w obydwu odczuwali smutek, jednak postanowili wybrać tak zwane *the 'least worst' option* i wrócili z powrotem do Stanów, gdzie mogli do końca życia opychać się hamburgerami i kupować firmowe ciuchy za marnych kilka dolców.

Mój przyjaciel bardzo szybko awansował na to stanowisko dzięki wrodzonemu wdziękowi. Znalazł się koło mnie w najgorszym okresie w życiu, który wspólnie przechodziliśmy – okresie dojrzewania. Pomógł mi przetrwać szkołę i opiekował się mną jak starszy brat, którego nie miałam. Byliśmy niemal nierozłączni.

- Dawno się nie pokazywałeś – przypomniałam mu, mając na uwadze nasze dawne cotygodniowe pogawędki przez *skypa*.

- Nie miałem czasu, musisz mi to wybaczyć – zauważył, dokładnie zdając sobie sprawę z tego, że zawsze wszystko uchodziło mu płazem.

- No więc? Opowiadaj! – niecierpliwiłam się coraz bardziej.

- Wszystko zrelacjonuję ci na miejscu. - Cisza dała mi chwilę na zastanowienie, ale i tak nie wymyśliłam żadnego sensownego wytłumaczenia dla niniejszych słów.

- Co to znaczy? – spytałam ostrożnie, czując podekscytowanie potencjalną odpowiedzią.

- To znaczy, że niedługo cię zobaczę, bo lecę do Polski! – Nie byłam pewna czy dobrze usłyszałam, czy tylko mi się wydawało, że Michał już niedługo będzie obok mnie. – I w związku z powyższym mam prośbę, żebyś odebrała mnie jutro z lotniska.

Dokładnie wytłumaczył mi swój plan przylotu. Kupił bilet do Krakowa, skąd miałam go odebrać. O mały włos nie zemdlałam z wrażenia. Jedyne na świecie człowiek, rozumiejący mnie bez słów, za kilkanaście godzin miał stanąć obok i być namacalnym! Z oczu popłynęły mi łzy szczęścia, które przyglądający się całej scenie Aleks opacznie odebrał.

- Chryste, Lena! Co się stało? – Gdy już skończyłam rozmowę, podbiegł do mnie zatroskany i przytrzymał za łokieć, jakby bojąc się, że stracę przytomność.

- Moja bratnia dusza przylatuje ze Stanów!

- Niechcący usłyszałam – przyznał bez cienia skruchy. – Szkoda, że to nie jakaś fajna laska.

- Uspokój hormony! To fajny przystojniak – pochwaliłam doskonały wygląd Michała, co do którego nie miałam wątpliwości.

Na twarzy Aleksa ujrzałam konsternację, która uszczęśliwiła mnie do końca dnia. Tak mało jego nieszczęścia potrzebne mi było do szczęścia. Szczerze powiedziawszy nie miałam pojęcia czym go tak zdenerwowałam, ale zabarykadował się w swoim pokoju i nie wychodził z niego do wieczora. Przez drzwi słyszałam jedynie ciche dźwięki muzyki. Mnie natomiast naszła ochota na herbatę z cytryną, sokiem malinowym i imbirem.

Siedząc na stołku w kuchni z parującym kubkiem między dłońmi, przyglądałam się fotografiom powieszonym w zasięgu wzroku. Większość zrobiona została za granicą, gdyż matka oprócz swojego odbicia w lustrze, najbardziej kochała dalekie podróże. Na niektóre z nich mnie zabierała, jednak większość przeczekiwałam w kanapach życia codziennego z chrupkami kukurydzianymi w ręku. Otaczałam się zdjęciami, odkąd pamiętam. Były dla mnie czymś w rodzaju zastygłej teraźniejszości, która nigdy się nie nudziła i nie starzała, choć jej uczestnikom wciąż przybywało niepotrzebnych lat. Fascynowało mnie, że

mogłam wykraść życiu chociaż tyle i nikt nie był w stanie mi tego odebrać.

Leniwie przeszłam do salonu, gdzie czekała zawsze wierna kanapa. Nie wiem kiedy zaatakowała mnie drzemka. Wiem jedynie, iż zrobiła to bez pozwolenia, choć w gruncie rzeczy spało mi się wyśmienicie. A przynajmniej dopóki nie obudził mnie odgłos przekręcanego w drzwiach zamka. Przywykłam do faktu, że ktoś inny oprócz mnie samej ma nad nim władzę.

Nie podniosłam głowy, gdy dotarł do mnie dźwięk dwóch szeptów – męskiego i żeńskiego. Udawałam, że sen zawładnął mną niczym król swą poddaną. W zaistniałych okolicznościach rozpoznałam słodki zapach perfum Aleksa.

- Cicho, bo się obudzi – ostrzegł swoją towarzyszkę, a ta wydała z siebie pomruk niezadowolenia.

Ten imbecyl łamie zasady – uzmysłowiłam sobie, do bólu wściekła na Aleksa, a mimo nawet nie drgnęłam. Nie mogłam znieść myśli, że wstając z kanapy zostanę zmuszona do spojrzenia w kocie oczy jakiejś ślicznotki. Na samą myśl robiło mi się niewyraźnie.

Gdy usłyszałam odgłos zamykanych drzwi, straciłam z siebie koc i ruszyłam schodami w górę, uważając, by stąpać po cichu. Nie życzyłam sobie nikogo obcego w domu i Aleks doskonale o tym wiedział, ale widocznie mu to nie przeszkadzało, a ja nie chciałam wyjść na sztywniaka przy jakiejś cyncatej laluni, zwracając jej uwagę. Znalazłam się więc w patowej sytuacji, z której szponów mógł wyrwać mnie jedynie diaboliczny, złośliwy plan. W przeciwnym razie groziłby mi szpital psychiatryczny. Wyobrażenia uaktywniła się w momencie i przed oczami stanęły mi obrazy – podpiłowanych obcasów, schodów posmarowanych olejem albo kłamki ubrudzonej pastą do zębów. Niemniej jednak żaden z tych pomysłów nie wydał się godzien zemsty. W przypływie zwątpienia przytknęłam ucho do drzwi i od razu pożałowałam wrodzonej dociekliwości. Drewno niestety przepuszczało odgłosy pojękiwania wrednej larwy i uciszania jej przez fałszywego dupka.

Więcej nie było mi trzeba. Bazując na historiach z dreszczykiem, cichaczem wymknęłam się do ogrodu i stanęłam tuż pod oknem pokoju, w którym urzędował Aleks. Pchana wściekłością podniosłam leżący nieopodal kamień i z całej siły cisnęłam w okno na pierwszym piętrze. Współ z trzaskiem pękającego szkła, nagle i niespodziewanie dotarł do mnie fakt, skazujący mnie na miano tępej idiotki, który krzyczał w mózgownicy – *Kurwa! Wybiłam własne okno!*

Chcąc wystraszyć nieproszonego gościa, wystraszyłam samą siebie do tego stopnia, że wbiegając do domu, potykałam się o własne nogi. Z góry dochodziły głosy pełne niepokoju. Serce waliło mi nienaturalnym rytmem, kiedy w ostatniej chwili wpelzłam pod zdezelowany koc. Zaraz potem usłyszałam krzyk Aleksa.

- Lena!

Udając, że wyrwał mnie ze snu, podskoczyłam i wrzasnęłam dla lepszego efektu.

- Czego tak drzesz ryja?! – Nadal wstrząsały mną nerwy, więc udawanie zaskoczenia nie stanowiło większego problemu.

- Ktoś wybił szybę na górze – wytłumaczył. – Nic ci nie jest?

W rzeczywistości nic by mi nie było, gdyby nie te cholerne wyrzuty sumienia, które beczelnie ścisnęły moje wnętrzności, gdy spostrzegłam strach i niepokój malujący się na twarzy Aleksa, niczym na obrazie Muncha.

- Ja jestem na dole – zaznaczyłam patrząc na niego, jak na kretyna, którym zresztą był. – Jutro załatwisz nowe, w końcu to twój pokój.

- Nie mówiłem ci, w którym pokoju – popatrzył podejrzliwie, a mnie oblał zimny pot.

Nastąpiła chwila złowroziej ciszy, podczas której zastanawiałam się, co powiedziałam nie tak.

- Domyśliłam się po twojej przerażonej minie – pospieszyłam z wyjaśnieniami, choć niepotrzebnie, bo przecież tylko winni się tłumaczyć.

Aleks zbadał mnie spojrzeniem od stóp do głów i doszedłszy do wniosku, że nic mi nie jest, ruszył na górę, przeskakując co dwa schody. Zdążyłam jeszcze dostrzec parę cienkich, gumowych rękawiczek na jego dłoniach, jednak wolałam tego w żaden sposób nie interpretować. Kiedy emocje opadły, pełna złości, że swoim zachowaniem zmusił mnie do takiego czynu, wystawiłam środkowy palec w stronę zamkniętych drzwi. *Szybko się ubrał* – chcąc nie chcąc pomyślałam.

Pół godziny później bez obciachu sprowadził swoją koleżankę za dół i pożegnał ją ceremonialnie. Była to dość dziwna poza jak na fakt, że dopiero co ją posuwał. Wykrzywiłam się z odrazą, kiedy kątem oka dostrzegłam z jakim szykiem była ubrana i jak sztywno stawiała kroki.

Mój współlokator usiadł obok mnie jak gdyby nigdy nic i zaczął gwizdać. Nie mam pojęcia czy chciał sprowokować rozmowę, czy po prostu był zadowolony z tego, że bzyknął jakąś ślicznotkę.

- Przestań, bo zaraz ja cię gwizdnę – fuknęłam.

- Mogę dzisiaj spać z tobą? – zapytał bez ogródek, a ja szeroko otworzyłam usta, z których wypadła guma do żucia.

- Słucham? – wychrypiałam, kompletnie zbita z tropu, próbując odlepić zżutą mamalygę od koca.

- Wybiłaś mi okno w pokoju – pospieszył z wytłumaczeniem. – Jeśli się mną nie zaopiekujesz, zamarznę.

- Trzeba było iść z tą swoją cizią – wskazałam na drzwi. – Ona odpowiednio by cię ogrzała.

- Zrobiłaś się strasznie zazdrosna – wypalił zadowolony ze swojego rzekomego uroku osobistego.

- Jesteś gorszy niż te twoje żelki! A kiedy w końcu się wyprowadzisz, na pewno będziesz godzien, ale zapomnienia!

Nie miałam pojęcia, czy to przez zdenerwowanie, zachmurzoną minę Aleksa, czy serce, które dostało nagłego hercklektotu, ale do samego rana nie zmrużyłam oka, choć do snu uparcie utulały mnie ciepłe, słone, kojące łzy.

dnia 4 lutego 1994r.).

romantyczna, dodano 10.11.2014 10:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.